

W świecie narodził się nowy konsensus: większość obywateli przestała bać się energetyki jądrowej i popiera budowę nowych elektrowni. Sezon grzewczy dopiero za chwilę, więc wątek bezpieczeństwa energetycznego i niezależności energetycznej kraju zszedł z nagłówek. Ale wróci, choć nieco odmieniony, bo utarł się już nowy konsensus społeczny dotyczący atomu - nie tylko zresztą w Polsce. Energetyka jądrowa przez dekady błędnie, ale pracowicie sklejana była przez aktywistów z Hiroszimą, Nagasaki i kryzysem irańskim. W debacie publicznej na energię z atomu spadało odium zła lub, w najlepszym przypadku, złej konieczności. I to pomimo swoich niewątpliwych zasług dla gospodarek wielu krajów i dla klimatu. Nowy konsensus oznacza zgodę na energetykę jądrową, bo jest nam bardzo potrzebna.

Jak trwoga, to do atomu

W USA utrzymuje się najwyższe od dekady poparcie dla jej rozwoju, i to w elektoratach obu partii. W Unii Europejskiej proporcje jej zwolenników i przeciwników uległy zupełnemu odwróceniu: stabilnie rośnie liczba tych pierwszych i spada odsetek drugich. Jest ich średnio już tylko 15 proc.

Ostatnie wyniki sondażu przeprowadzonego na zlecenie Ministerstwa Klimatu i Środowiska pokazują, że wdrożenie energetyki jądrowej w polski miks energetyczny popiera aż 86 proc. Polaków. To rekordowy wynik. Polacy co prawda nigdy nie kupili antyatomowej propagandy płynącej do nas z Zachodu, ale wyraźny skok poparcia łatwo daje się powiązać z dwoma przełomowymi momentami: pęknięciem w debacie publicznej, w której atom w końcu przebił się do wyobraźni społecznej jako potężne narzędzie dekarbonizacji sektora energetycznego, oraz z kryzysem energetycznym wywołanym atakiem Rosji na Ukrainę. Jak trwoga, to do atomu.

W czasie, kiedy ostatecznie ujawniły się koszty polityczne, społeczne i finansowe związane z zależnością od paliw kopalnych, których zasoby się kurczą, a dostęp do nich okazuje się ograniczony i obarczony ogromnym ryzykiem, energetyka jądrowa wraca do łask. Również do łask decydentów, bo bywa, że stosunek do niej okazuje się wyborczą kroplą, która przepełnia czarę. I tak w Hiszpanii, która według planu rządzącej dotychczas lewicy miała wkrótce wyłączyć działające w kraju reaktory, do władzy po czerwcowych wyborach doszli chrześcijańscy demokraci głośno postulujący nie tylko odstąpienie od planu ich likwidacji, ale też budowę nowych. Widzieliśmy to zresztą wcześniej w Szwecji, gdzie dwa przedwcześnie wyłączone w duchu „odchodzenia od atomu” reaktory elektrowni Ringhals już wkrótce mogą

zastąpić nowe obiekty, do których budowy aktywnie dąży wybrana w wyborach jesienią 2022 roku prawica.

W międzyczasie energetyka jądrowa okazała się bowiem nie tylko dramatycznie potrzebna, ale też... modna, a stosunek do niej stał się społecznie papierkiem lakmusowym poważnego podejścia do kwestii ochrony klimatu i – no właśnie – bezpieczeństwa i niezależności energetycznej.

Niemiecki model w odwrocie

Promowany dotychczas niemiecki model transformacji energetycznej sprowadzający się do rezygnacji ze stabilnej i bezemisyjnej produkcji energii w reaktorach jądrowych i wzrostu wykorzystania paliw kopalnych w celu kompensacji wahanć produkcji z OZE skompromitował się skutecznie. Upadł wraz ze swoim sztandarowym projektem importu gazu ziemnego z Syberii wprost do serca Europy gazociągami Nord Stream 2.

Niemcy, przynajmniej na razie, zamierzają przy tym modelu pozostać, ale jeden po drugim rezygnują z niego inne, dotychczas podążające za przykładem Niemiec kraje. Nowe reaktory zamierzają stawiać Holendrzy, o wdrożeniu energetyki jądrowej coraz głośniej rozmawia się w stojącej energią z wiatru Danii. Przedłużona zostanie praca belgijskich „atomówek”, na których już stawiano krzyżyk, a niemiecka delegacja, zamykając w Warszawie konsultacje transgraniczne dla elektrowni jądrowej na Pomorzu, miała prawo wyjechać z Polski w głębokim poczuciu, że zamknęli własne obiekty tylko po to, by podobne zaczęły wyrastać im za płotem.

W Polsce tłumy chętnych do budowy elektrowni jądrowych

Że trwa właśnie swoista „moda na atom”, widać również w Polsce, gdzie projekty jądrowe wyskakują dosłownie z lodówki. Naprzód posuwa się nie tylko realizacja Programu Polskiej Energetyki Jądrowej, która w pierwszym kroku zakłada budowę elektrowni jądrowej na Pomorzu przez państwową spółkę Polskie Elektrownie Jądrowe sp. z o.o. Oto powstała też PGE PAK Energia Jądrowa, która chce budować z udziałem koreańskich partnerów pełnoskalowy reaktor w Pątnowie. Mniejsze obiekty planuje stawiać KGHM, a Orlen reklamuje na billboardach projekt OSGE – budowy całej serii małych reaktorów modułowych SMR, w różnych lokalizacjach.

W Polsce projekty jądrowe jako duże inwestycje infrastrukturalne, wymagające

pewnej, politycznej ręki, wykraczającej poza kadencyjność rządów i parlamentów – nie miały dotychczas szczęścia. Dość długo jedynymi ugrupowaniami, które głośno i otwarcie mówiły o atomie, były Lewica Razem (w czasie, gdy było ją jeszcze łatwo odróżnić od pozostałych partii lewicy) i Konfederacja (w czasie, kiedy jeszcze uznawano ją za margines, a nie realną siłę polityczną). Pozostali – długo zdawali się atomu wstydzili, nawet jeśli mniej lub bardziej aktywnie nad nim myśleli lub pracowali.

Pierwsza spółka jądrowa w III RP powstała w 2009 roku, w ramach Polskiej Grupy Energetycznej. Była to PGE Energia Jądrowa SA, która powołała do istnienia spółkę celową i rozpoczęła proces wyboru potencjalnych lokalizacji pod budowę elektrowni jądrowej w Polsce. Równolegle rząd Donalda Tuska i parlament rozpoczęły wtedy prace nad aktualizacją polskiego prawa atomowego, przyjęły pierwszą wersję Programu Polskiej Energetyki Jądrowej i pierwsze wersje kluczowych rozporządzeń potrzebnych do realizacji projektów jądrowych. Tempo prac nie oszałamiało – szybko stało się jasne, że koszty będą wysokie, a wstęgę przetnie już kto inny. Nie pomagał nieprzyjazny klimat w instytucjach unijnych i otoczeniu. Trwały poszukiwania sposobów, aby ten wymagający wieloletniego i konsekwentnego zaangażowania politycznego i finansowego projekt przeprowadzić z minimalnym udziałem instytucji i aparatu państwa, wciągając w niego całą czwórkę ówczesnych spółek energetycznych.

Zmiana rządu przyniosła zmianę priorytetów i logiki działania: choć PiS, w przeciwieństwie do PO w tamtym czasie, głośno deklarował poparcie dla atomu, próżno było tego poparcia szukać u powołanego na ministra energii Krzysztofa Tchórzewskiego. Zajęty próbą przeforsowania budowy nowego bloku węglowego we własnym okręgu wyborczym minister dla projektu jądrowego nie zrobił nic. Na projekt nie było pomysłu – dopóki wokół atomu nie zaczął zmieniać się nastrój i nie okazało się, że można na nim realnie – również PR-owo i politycznie – zyskać.

Jeszcze w ostatniej kampanii prezydenckiej i parlamentarnej atom był tematem drażliwym. Jasnych deklaracji unikali przesiąknięci zachodnią narracją Hołownia i Trzaskowski, unikała go sklejona z tożsamościowo i fanatycznie antyatomową Partią Zielonych Platforma Obywatelska – chociaż zwolennikami atomu byli w przeważającej części ich wyborcy, zdystansowani do sączącej się z zachodnich mediów antyjądrowej histerii.

Trendy zza oceanu

Dziś, kiedy w USA ponownie włączane są unieruchomione już reaktory, których jak EJ Palisades w Michigan ponoć „nie dało się uratować” przed taną konkurencją ze strony gazu ziemnego, a pierwszy od 30 lat (!) nowy reaktor rozpoczyna pracę w stanie Georgia, sytuacja i w Polsce, i w Europie, i na świecie wygląda zgoła inaczej.

Chciałabym myśleć, że zaczyna wyglądać – przynajmniej w kwestii tak kluczowej jak bezpieczeństwo energetyczne kraju – trochę jak w Finlandii. W rozmowie do książki „Atom dla klimatu” Rauli Partanen, pisarz i dziennikarz, oraz Tea Törmänen, członkini fińskiej Partii Zieloni i działaczka społeczna, mówili mi, że Finowie nagradzają swoich polityków za rozwiązywanie konkretnych problemów, zamiast nabierać się na gładkie słówka i szerokie, fantastyczne plany. W Polsce mamy obfitość fantastycznych atomowych planów, ale po 14 latach prowadzenia polskiego projektu jądrowego konkretów nadal brak.

Nie stać nas na powtórkę historii zbudowanej w połowie i opłaconej w całości Elektrowni Jądrowej Żarnowiec, której ruiny straszą na Kaszubach. Decyzja ministra Syryjczyka o porzuceniu projektu w 1991 kosztowała nas, wówczas kraj na skraju zapaści gospodarczej, nie tylko miliony złotych w rublach transferowych i dolarach za zerwanie międzynarodowych kontraktów. Kosztowała nas też utratę szansy na zbudowanie wiedzy eksperckiej i całej gałęzi gospodarki, której nie zmarnowali praktyczni, a przecież równie wówczas ubodzy, co my, Czesi i Słowacy.

Porzucenie EJ Żarnowiec przede wszystkim kosztowało nas jednak dekady całkowitej zależności energetycznej od węgla, którego nie tylko dawno nie powinniśmy już spalać, ale którego też realnie zaczyna brakować. Nikogo ze skutków tej decyzji do dziś nie rozliczono.

Rząd się zmienia, ale plany powinny pozostać

Jeśli nie od Finów, uczmy się na własnych błędach. Zmiana władzy – a nawet zmiana ustroju – nie może oznaczać odejścia od priorytetów z zakresu bezpieczeństwa.

Ministerstwo Klimatu i Środowiska wydało już dwie decyzje zasadnicze w sprawie projektów jądrowych: dla KGHM i dla PEJ na Pomorzu. OSGE wnioski o decyzję złożyło w kwietniu i czeka. Według zapisów Polityki Energetycznej Polski 2040 to on ma wyprzedzić o cztery lata upolityczniony PEJ sp. z o.o. i uruchomić w 2029 roku pierwszy w Polsce reaktor jądrowy BWRX-300.

Decyzje zasadnicze to jasne zobowiązanie struktur państwa do wsparcia projektów jądrowych. Bez względu na to, kto te struktury po wyborach przejmie, jest w naszym interesie, aby założonych dat dotrzymać, tak by plany atomowe w końcu stały się ciałem. Nadchodząca kadencja będzie w tym zakresie decydująca. Niech w końcu liczą się czyny, nie słowa.

Źródło: [Energetyka. Wreszcie przyszła pogoda dla atomu \(wyborcza.pl\)](#)